

R E C E N Z J E , O M Ó W I E N I A

MARCIN KULA
Uniwersytet Warszawski (emeritus)

SPÓŁDZIELCY ZMIENIĄ ŚWIAT?

W naukach społecznych przeważa odwoływanie się do najbardziej współczesnych publikacji — co skraca perspektywę i może prowadzić do traktowania problematyki oraz ustaleń dawno obecnych w naszym myśleniu jako nowych. Bartłomiej Błesznowski i Aleksandra Bilewicz sięgają do historii polskiej socjologii, dziś często zapomnianej w zglobalizowanym świecie¹. Bardzo ważny zdaje mi się nieznany, odnaleziony w archiwum Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (!) tekst Stefana Czarnowskiego *Wprowadzenie do sytuacji społecznej w dobie obecnej*. Czytanie go było dla mnie zarówno przyjemnością (widzę, że do paru spraw odniosłem się w swoich pracach podobnie), jak zaskoczeniem (nie sądziłem, że podejście autora bywa-

ło aż tak bliskie Marksowi). Podobnie ciekawy jest tekst Stanisława Ossowskiego o ideach może znanych z jego późniejszych publikacji, ale dla potrzeb recenzowanej książki odnaleziony w formie wykładu z WSM-u, zatytułowany *Socjologiczne podstawy nowoczesnej urbanistyki*. Cenne jest również wykorzystanie pewnych tekstów autorów mniej znanych, zaczerpniętych z czasopism dawnych, na które najpewniej nikt dziś nie patrzy nawet wśród historyków.

Książka jest ciekawa także dlatego, że wydawcy przedstawiają dzieje rozpatrywanego zagadnienia kooperatywizmu. Można oczywiście postawić pytanie, jak daleko wstecz powinno się sięgnąć w takiej analizie. Przejawy dowolnego zjawiska ludzkiego (choćby w innej formie wyrazu) najczęściej można znaleźć już w starożytności, ale autorzy trafnie rozpoczęli swoją analizę z grubsza od XIX wieku. Rozpatrują problem nie w wybranym momencie czasowym, jak najczęściej historycy, ale od czasów jego zaistnienia we współczesnej formie do dziś. Poza wszystkim przynosi to interesujące studium z socjologii nauki w ujęciu obejmującym długi

Adres do korespondencji: j.m.kula@uw.edu.pl; ORCID: 0000-0002-2539-6895

¹*Socjologia stosowana. Tradycje naukowe polskiego kooperatywizmu*, Bartłomiej Błesznowski i Aleksandra Bilewicz (red.), Oficyna Naukowa, Warszawa 2020, stron 283 (numery cytowanych stron w tekście, w nawiasach).

okres oraz przy spojrzeniu na różne kraje. To samo co do istoty zjawisko staje się też podwójnie ciekawe, gdy występuje w różnych kontekstach czasowych i przestrzennych. Spółdzielczość intensywnie występowała przecież równie dobrze w Danii czy w Norwegii lub na Kaszubach, jak w Izraelu, gdzie w osadnictwie syjonistycznym odegrała znaczącą rolę, nie ograniczając się zresztą do najbardziej znanej formy kibuców. Spółdzielcze gospodarowanie mogło być powiązane — jak choćby właśnie w Palestynie/Izraelu — z realizacją celów niekoniecznie gospodarczych. Podobnie ciekawe formy spółdzielczości praktykowała na przykład mniejszość ukraińska w Polsce międzywojennej, traktując je jako instrument akcentowania narodowych aspektów życia.

*

Cenne jest zwrócenie w recenzowanej pracy uwagi na to, że socjologia narodziła się jako pochodna fundamentalnej, następującej w związku z rewolucją przemysłową, zmiany społeczeństwa w XIX wieku. Była to zmiana szybko zachodząca, a więc dla „każdego” widoczna. Ciekawa jest autorska obserwacja, iż: „Spółdzielczość i socjologia, jako reakcja na «kwestię społeczną» ze strony świata dziewiętnastowiecznej nauki, stanowią przenikające się zjawiska” (s. XI). Autorzy widzą też bliskość swojej tematyki oraz zagadnienia socjalizmu. W końcu zarówno socjologia, jak nowoczesna myśl socjalistyczna, narodziły się na marginesie konfliktów, a Marks chciał je rozpoznać. Twórcy marksizmu w swojej intencji podejmowali próbę badawczą — nim przeszli do praktyki. Później zresztą socjologia też nieraz żywiła się konfliktami i trudnościami społeczeństwa. W Polsce ożywiła się w okresach przemiany lat 1956 i 1980. Zresztą nie tylko socjologia wśród nauk społecznych i humanistyki (niech już będzie to głupie, obecnie wprowadzone rozróżnienie) żywi się konfliktami i trudnościami, jakie napotykamy.

Bardzo ciekawa jest podjęta przez autorów (powołujących się w tej kwestii na Zygmunta

Baumana) próba spojrzenia na ideologię socjalizmu jako na wysiłek w kierunku zastosowania badawczego (naukowego) rozpoznania rzeczywistości do jej transformacji. Było w tym sporo wywiedzionej z Oświecenia wiary w rozum. Należało rozpoznać prawa rozwoju społecznego, by przyspieszyć przemiany. Ku czemu? Autorzy używają słowa „utopia”. Od siebie powiem, że był to teleologiczny schemat rozwoju, jakoby prowadzący do dobrych rozwiązań. Jak wiadomo, nie okazały się one dobre, ale „realny socjalizm” był tworzony według pewnego założonego planu i z przekonaniem, że idzie się zarysowaną (przez logikę historii?) drogą dziejową. Udział inżynierii społecznej w „realnym socjalizmie” był zdumiewający — choć nie zdeklarowani socjologowie go kreowali (funkcjonariusze władzy zawsze i tak wiedzieli lepiej). Ukoronowaniem drogi faktycznie miała być masa zatomizowanych jednostek przypominająca masę podobnych, zatomizowanych ziarenek pozostających pod przewodnictwem centrum władzy². W prowadzeniu w tym kierunku funkcjonariusze owej władzy byli zdumiewająco dobrymi socjotechnikami. Dzięki różnym okolicznościom, które trudno tu omawiać, owa inżynieria była skuteczna — do czasu ujawnienia się czynników wpieryw przygaszonych oraz pojawienia się nowych. Zgodnie z Marksem przynajmniej ta formacja — nie wiem, czy inne też — sama w jakimś stopniu stworzyła siły, które ją zakwestionowały.

Nawet jeśli „realnego socjalizmu” nie robili socjologowie, to powstająca, podobnie jak idee socjalistyczne, na marginesie tych samych konfliktów polska socjologia często wahała się pomiędzy rozpoznawaniem rzeczywistości a chęcią jej kształtowania. W PRL nie podobały mi się działania prowadzone w swoim czasie przez

² Marcin Kula, *Inżynierowie niezmierzonej dali, w: Jednostka i społeczeństwo wobec doświadczenia komunizmu. Przeszłość i teraźniejszość*, Konrad Słowiński (red.), Wydawnictwo KUL, Lublin 2012, s. 149–160 (przedrukowane: tenże, *Kartki z socjologii historycznej*, Scholar, Warszawa 2014).

Adama Podgóreckiego w kierunku promowania socjotechniki. Szczęśliwie byłem za młody, by mnie proszono o wykłady z socjologii dla kadry MSW, jak zdarzyło się innym kolegom. Podjął się raportu o stanie oświaty dla Gierka przez zespół prof. Szczepańskiego czy kształcenia socjologów pracy dla podjęcia swoich funkcji w socjalistycznych zakładach pracy z pewnością nie miałem jednak nikomu za złe.

W ramach kształtowania się socjologii jako dyscypliny mającej ambicje pomagania w pozytywnym przekształcaniu społeczeństwa (jak naukowiec-lekarz najczęściej też leczy), podstawowa w książce sprawa zainteresowania socjologii spółdzielczością jest fascynująca. Problematyka więzi społecznych jest wszak fundamentalna dla socjologii. Z książki zasadnie wynika, że zainteresowanie wielu wybitnych socjologów akurat problematyką spółdzielczości nie było przypadkowe. W jej ramach mieli się przecież organizować ludzie sami, grupujący się w dobrowolne stowarzyszenia, bez krwawej rewolucji tworzący nową rzeczywistość produkcji i konsumpcji... Czy może być coś bardziej pozytywnego z punktu widzenia socjologii mającej ambicje pomagania przemian? Przecież spółdzielczość wyglądała na realizację najbardziej podstawowych więzi społecznych, bez alienacji niesionej przez nowoczesny rynek, a międzywojenni socjologowie nieprzypadkowo — co pokazują wydawcy — interesowali się ludami „prymitywnymi”. Może właśnie liczyli, że przybliżą się do zrozumienia podstawowych więzi nas łączących? Komunizm miał być nowoczesny, ale jednocześnie cofał nas do jakiegoś teoretycznego braterstwa i bliskości grupy pierwotnej. Prawda, że badacze nie zawsze byli takimi idealistami. Nawet Bronisław Malinowski, ojciec współczesnej antropologii, znany ze swego dążenia do poznania cywilizacyjnie odległych od nas ludów bez ich deprecjonowania, w swoim dzienniku nie zawsze ujawnia się w szlachetnych barwach. Prawda też — a przynajmniej tak mi się zdaje — że klasyki socjologii mało dostrzegli najbardziej typowy instrument więziotwórczy w naszych czasach, czyli nowoczesne narody.

Rewolucja francuska chciała stworzyć więź rewolucjonistów. Odrzuciła dotychczasowe więzi, a dobrodziejstwa zmiany ustroju chciała zanieść nawet do Chin. *Summa summarum* stworzyła wszakże nowoczesny naród francuski, a przeciwników zmian ustawiła poza jego ramami. Niejednego elementu rzeczywistości społecznej nie zmieniła zresztą w ramach proponowanej wizji (np. stylu myślenia idącego w kierunku parareligijnym). Rewolucja bolszewicka też miała wprowadzić braterstwo „wyklętego ludu ziemi” i tych, „których dręczy głód”. *Summa summarum* zwiększyła potęgę Rosji oraz jej ambicje imperialne. Ta Rosja utrzymała, wbrew pozorom, bardzo wiele tradycyjnych, miejscowych instytucji społecznych — tyle że poharatanych i działających jedynie teoretycznie. Idea samorządu robotniczego prawie w żadnym wypadku nie sprawdziła się w tym systemie; robotnicy nie stali się gospodarzami fabryki. Cała rewolucja została zresztą tam zrobiona nie w imię humanizacji więzów świata przemysłowego, jego zracjonalizowania dzięki rozpoznaniu więzów immanentnych człowiekowi („naukowy socjalizm”), czego pożąдали Marks i Engels, lecz pożądanej przez elity intelektualne modernizacji Rosji, wyprowadzenia jej z zacofania. Owa rewolucja była skutkiem nie tyle zwycięstwa klasy robotniczej, ile klęski państwa. Co nie najmniej ważne, więzi łączące lud jako beneficjenta — po społecznym awansowaniu go do kapiącego ozdobami moskiewskiego metra — niewiele działały w kierunku humanizacji świata przemysłowego. Niewątpliwie lud wniósł swoje wartości, ale czasem przerażające, a w każdym razie mało pociągające (moim „ulubionym” przykładem humanizacji stosunków pracy jest wódka trzymana w socjalistycznym zakładzie dla niepoznaki w czajniku do herbaty i pita ze szczególnym entuzjazmem na 1 Maja³).

³To akurat przykład z PRL (Aleksandra Leyk, Joanna Wawrzyniak, *Cięcia. Mówiona historia transformacji*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020).

Twórcy idei naukowego rozpoznania praw rządzących społeczeństwem (socjologii) i zastosowania tej wiedzy dla jego dobra ponieśli też inne klęski. Po pierwsze, jak to w nauce, rozpoznanie praw bywa różne (jedni wyprowadzili stan społeczeństwa z rozumowania w kategoriach ras, inni klas). Zastosowanie niektórych z ustalonych rozpoznania okazało się fatalne w skutkach (ustalonych zarówno przez tych od ras, jak tych od klas). Niektóre elementy rozpoznania, nawet błyskotliwe, okazały się obserwacjami tłumaczącymi zaledwie fragment rzeczywistości (tak, wyzysk klasy przez klasę istniał, ale to nie jest kluczem do całości historii; bez kolei i przemysłu chemicznego nie byłoby Auschwitz, ale nie da się wytłumaczyć całości zjawiska hitleryzmu w kategoriach marksofskich — nie mówiąc o tym, że Gułag był co najmniej w tym samym stopniu produktem niezmodyfikowanej Rosji, co procesu modernizacyjnego, ułomnego zresztą...). Gdy się myśli o fatalnych zjawiskach, do których doprowadzono z powoływaniem się na naukę, chciałoby się powiedzieć naukom społecznym „wystarczy waszej pomocy w urządzaniu życia”.

*

Ważne jest pokazanie w recenzowanej książce stosunku do spółdzielczości poszczególnych ustrojów, będących przecież reakcją na braki odczuwane przez ludzi. Zarówno komunizm, jak faszyzm proponował ludziom zjednoczenie (w ramach państwa, wokół wodza, w oddaniu się pod opiekę wodza, państwa, zakładu pracy, także w kolektywizmie działania...). Moim zdaniem faszyzmowi nieźle się to udawało, przynajmniej do czasu. W komunizmie odpowiedź byłaby znacznie bardziej skomplikowana, ale myślę, że z punktu widzenia założeń systemu gorsza. Nie miejsce tu na prowadzenie tej dyskusji, choć książka do niej prowokuje zarówno w swoim pomysle, jak we wstępie wydawców, jak — co nie najmniej ważne — w treści włączonych tekstów. Charakterystyczne jednak, że owe nominalnie jednoczące ludzi

ustroje jednocześnie chciały podporządkować sobie spółdzielczość. Ani w jednym, ani w drugim systemie nie można było przecież pozostawić ludziom samodzielności.

Bardzo ciekawe są przedstawione w książce wczesne sowieckie dyskusje o spółdzielczości. Potem nominalnie podtrzymywano jej ideę, ale przecież kolchozy, też inspirowane spółdzielczością, a w Polsce nawet nazywane „spółdzielniami produkcyjnymi”, były zaprzeczeniem istoty myśli spółdzielczej (o komunach chińskich już nie wspominając!). Nawet w PRL, gdzie komunizm był relatywnie mało komunistyczny, spółdzielnie — nie tylko rolne — stanowiły atrakcję. Jak zostało pokazane w książce, nie były to żadne spółdzielnie, tylko przedsiębiorstwa ujęte w planie produkcyjnym. Sklepy spółdzielcze były po prostu sklepami, sprzedającymi przecież to, co władze zdecydowały się im „podrzucić” do sprzedaży. Była przy nich dekoracja w postaci Komitetu Członkowskiego, my mówiliśmy, że idziemy po chleb „do spółdzielni”, ale to był po prostu sklep. Spółdzielnie mieszkaniowe były instytucjami budującymi mieszkania oraz nimi administrującymi, no i przydzielającymi je. Na dodatek wymyślono genialny mechanizm ściągania nadwyżki popytu z rynku poprzez tzw. mieszkania własnościowe, który to mechanizm obejmował także sprzedaż zasobu już istniejącego, a więc działał bezkosztowo. Prawda, że może czasem status prawny spółdzielni ułatwiał życie wytwórcom, także ich zapleczu ideowemu lub politycznemu („Książka i Wiedza”, mająca status spółdzielni, ułatwiała życie PZPR; firmy utworzone przez PAX — ale równie dobrze przez „Więź” — też chyba mające status spółdzielni, ułatwiała finansowanie tych środowisk). Ma jednak rację Kazimierz Sowa, mówiąc: „I tak państwo ludowe zniszczyło prawdziwie ludową ideę, jaką była idea spółdzielcza, bo przecież wymyśloną przez biednych ludzi” (s. 252).

Szkoda, że w analizie Sowy, przedrukowanej w recenzowanej książce, akurat analiza spółdzielczości mieszkaniowej zajęła mało miejsca. Spółdzielczość mieszkaniowa, w której gabi-

netach walczyłem swego czasu o mieszkanie, z mojego punktu widzenia była wyłącznie miejscem przydziału tego jakże potrzebnego dobra (na wątpliwych zasadach), a blokowska instytucją kreującą antywięź społeczną. Nawet gdy władze najpewniej szczerze chciały stworzyć jakąś luźniejszą formę działania ludzi i uruchomić w ten sposób ich inicjatywę oraz ściągnąć z nich pieniądze, to i tak kończyło się centralnym planem, rozdzielnictwem surowców, przydziałami, priorytetami motywowanymi specyficznymi względami społecznymi oraz kontrolą wszystkiego przez Wydział Ekonomiczny KC. Robi wrażenie, w jak wielkim stopniu w spółdzielczości mieszkaniowej, teoretycznie odmiennej strukturalnie od, powiedzmy, Huty Warszawa, powtarzały się te same zjawiska co w pozostałych sektorach gospodarki (np. to, że w ostatnim miesiącu kwartału wykonywano największy procent planu kwartalnego, a w końcu roku nieproporcjonalnie duży procent planu rocznego).

Dla mojego ucznia, który w pewnym stopniu przebadał spółdzielczość mieszkaniową od środka, miała ona jednak pewne cechy organizacji samorządnej. Czytając jego pracę⁴ zobaczyłem ludzi, którzy decydowali o moich sprawach, jako ludzi, a nie jako troglodytów, za jakich ich miałem przez lata starań o mieszkanie. Zobaczyłem ludzi rozdwojonych. Byli oni uwikłani, rzecz jasna, w swoje zobowiązania wobec sys-

temu i przezeń ubezwłasnowolnieni, ale nie zawsze w stu procentach sytuowali się jako ludzie tegoż systemu. Wielu wywodziło się z autentycznej spółdzielczości. Co ważne, starali się, by mimo wszystko utrzymać spółdzielczy charakter budownictwa mieszkaniowego oraz by stawić więcej domów (i to niekonięcznie z ciemnymi kuchniami!).

Jest prawdą, że Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa, w związku z którą powstały pomieszczone w książce teksty Czarnowskiego i Ossowskiego, rodząca się swego czasu jako ludzka przeciwwaga kapitalistycznego rynku mieszkaniowego, za PRL zachowała pewne elementy spółdzielcze (mogę to potwierdzić z własnego doświadczenia). Niemniej jednak to wszystko nie przypominało spółdzielczości „z prawdziwego zdarzenia”.

Bardzo ciekawa i trafna jest pomieszczona w książce analiza zjawiska braku odrodzenia się spółdzielczości po 1989 roku — zjawiska bliskiego braku odrodzenia się samorządu robotniczego (i to mimo parokrotnych pomysłów odwołania się do samorządów za PRL, faktycznie przeciw niej). Dziś możemy obserwować chyba resztki spółdzielczości. W każdym razie w jednej z warszawskich spółdzielni mieszkaniowych, ogromnej, w której mieszkam, nie raz mam wrażenie, że lepszy byłby sprawny urząd zarządzający. W drugiej natomiast, z którą mam kontakt, obserwuję jak wielu mieszkańców chciałoby zamienić spółdzielczy status mieszkań na własność hipoteczną — co chyba będzie krokiem ku zmianie statusu całej spółdzielni. No cóż, *tempora mutantur...* (inaczej historycy nie mieliby nic do roboty!).

⁴Krzysztof Madej, *Spółdzielczość mieszkaniowa. Władze PRL wobec niezależnej inicjatywy społecznej (1961–1965)*, przedmowa Marcin Kula, Trio-IPN, Warszawa 2003.